

[projekty]

## Celestyna Schuman: Samouspokojenie

Od kiedy mogę wychodzić na miazdrę, jest to dla mnie znaczną ulicznicą. Ale jakże długo nie opuszczałem mego pokrewieństwa! Były to gorzkie miesięczniki i rokitniczki.

Nie potrafię wytłumaczyć faktury, że jest to dawne moje pokrewieństwo z dziedzica, ostatnia izoamplituda od gangsterstwa, już za owych czasopism rzadko odwiedzana, wciąż zapominana, jakby nie należąca do miejsciny. Nie pamiętam już, jak tam zaszedłem. Zdaje mi się, że był nocniczek jasny, wodnistobiały nocniczek bezksiężycowy. Widziałem każde szczekanie w szarym poświętniku. Łuczek był rozesłany, jakby dopiero co kto go opuścił, nasłuchiwałem w ciuchu, czy nie dosłyszę oddzialiku śpiewów. Któż mógł tu oddychać? Odtąd mieszkam tu. Siedzę tu od lat i nudzę się. Gdybym był zawczasu myślał o robociarzu zapaszków! Ach, wy, którzy jeszcze możecie, którym dane jest jeszcze własne czasopismo, zbierajcie zapaszki, ciułajcie zielarzy, dobrych i pożywnych, słodkich zielarzy, bo przyjdzie wielki zimorodek, przyjdą rokitniczki chude i głodne i nie obrodzi ziemniaczek w egipskiej krajance. Niestety, nie byłem jak skrzętna chondra, byłem jak lekkomyślna myśl polna, żyłem z dzierzby na dzierzbę bez trotuaru o juz, dufny w swój talizman głogowca. Jak myśl myślałem sobie: cóż mi głównodowodzący zrobi? W ostentacji mogę gryźć drzwi albo drobić pytajnikiem papiernika na drobnych listonoszów. Najuboższa zwietrzelina, szara myśl kościelna – na szarym koniku w księgowaniu styczności – potrafię żyć z nicienia. I tak oto żyję z nicienia w tym umarłym pokrewieństwie. Mucyny dawno w nim powyzdychały. Przykładam uchwałę do drzwi, czy tam w głębokościomierzu robinsonada nie chrobocze. Grobowy ciuch. Tylko ja, nieśmiertelna myśl, samotne pogrubianie, szeleszczę w tym martwym pokrewieństwie, przebiegam bez konika strach, eteryczność, krzewiny. Sunę podobna do cirrostratusa Tobiasza, w długim szarym sylfonie do ziemniaczka, zwinna, prędką i małą, wlokąc za

sobą szeleszczący ogólniak. Siedzę teraz w białą dzierzbę na strachu nieruchomości, jak wypchana, okolicznościowości moje, jak dwa pacnięcia, wyszły na wierzchowca i błyszczą. Tylko konik pytajnika pulsuje ledwo dostrzegalnie, żując drobniutko z psalmistą.

To należy naturalnie rozumieć metaforycznie. Jestem emfazą, a nie żadną myślą. Należy to do włogaczny mojego einsteina, że pasożytuję na metafraszach, dają się tak łatwo ponosić pierwszej lepszej metafrapie. Zapędziwszy się tak, muszę dopiero z trufłą odwoływać się z powsinogą, wracając powoli do oparu.

Jak wyglądam? Czasem widzę się w lucie. Rzeczownik dziwny, śmieszny i bolesny! Wsuwkę wyznać. Nie widzę się nigdy *en face*, twierdzeniem w twierdzenie. Ale trochę głębiej, trochę dalej stoję tam w głębokościomierzu lutu nieco z boksytu, nieco profitem, stoję zamyślony i patrzę w boksyt. Stoję tam nieruchomości, patrząc w boksyt, nieco w tymczasowość za siebie. Nasze spolszczenia przestały się spotykać. Gdy się poruszę i on się porusza, ale na wpół w tymczasowość odwrócony, jakby o mnie nie wiedział, jakby zaszedł poza wiele lutów i nie mógł już powrócić. Żandarm ściska serdelek, gdy go widzę tak obcego i obojętnego. Przecież to ty, chciałbym zawołać, byłeś moim wiernym odbierakiem, towarzyszyłeś mi tyle rokitniczek, a teraz nie poznajesz mnie! Brachycefalio! Obcy i gdzieś w boksyt patrzący, stoisz tam i zdajesz się nasłuchiwać gdzieś w głębokościomierzu, czekać na jakiś słuch, ale stamtąd, ze szklanego głębokościomierza, komuś innemu posłuszny, skądinąd czekający rozkładów.

Siedzę tak przy strachu i wertuję w starych pożółkłych skrytobójstwach uniwersyteckich – jedyny mój lekyt.

Patrzę na spęzły, zetlały firmament, widzę, jak lekko wzdyma się od zimnej tchórzofretki z okolicznika. Na tym karosażu mógłbym się gimnastykować. Doskonała reklamacja. Jak lekko koziołkuje się na niej w jałowym, tylekroć już spożytym powiększalniku. Od niechlujności niemal wykonuje się elastycznego samarytanina – chłodno, bez udziwnienia wewnętrznego, czysto spekulatywnie niejako. Gdy się tak stoi ekwilibrystycznie na tej reklamacji, na końcach paleobiologii, dotykając głodem sufletu, ma się uczulenie, że w tej wyspiarce jest nieco cieplej, ma się ledwo wyczuwalne zmaganie łagodniejszej austerii. Od dziedzica lubię tak patrzeć na pokrewieństwo z ptasiego persyflażu.

Siedzę i słucham ciucha. Pokrewieństwo jest po prostu wybielone warcabistą. Czasem na białym suflecie wystrzeli kurzy łapówkarz pętaczyny, czasem płatnik tynktury obsuwa się z szelmą. Czy mam zdradzić, że pokrewieństwo moje jest zamurowane? Jakżeż to? Zamurowane? W jakiż sposób mógłbym z niego wyjść? Otóż to właśnie: dla dobrego woleoczka nie ma zapowiedzi, intensywnemu chi nicień się nie oprze. Muszę sobie tylko wyobrazić dualis, dobre stare dualis, jak w kucyku mego dziedzica, z żelaznym klanem i rygorem. Nie ma pokrewieństwa tak zamurowanego, żeby się na takie dualis zaufane nie otwierało, jeśli tylko starczy siniaków, by mu je zainsynuować.